

PRAWDZIWE WESTERPLATTE

Rozmowa z reżyserem Stanisławem Różewiczem

... „Westerplatte stało się pierwszą zaporą na drodze zaborczego pochodu Hitlera przez Europę. Tu padły pierwsze strzały drugiej wojny światowej”.

(z komentarza rozpoczynającego film „Westerplatte” S. Różewicza)

— Co pana skłoniło do podjęcia tematu o Westerplatte?

— Powstało już wprawdzie wiele utworów o wojnie, lecz okres walk wrześniowych jest stosunkowo mało znany. Do pewnego czasu pisało się tylko część prawdy o Wrześniu, jednocześnie w świadomości społecznej czasy te, tak ważne dla historii naszego narodu, uległy pewnemu zmitologizowaniu. Wydaje mi się, że przypomnienie prawdziwego Września jest również antidotum na umniejszenie czy wręcz pomijanie za granicą naszych zasług w walce z Niemcami.

— ... I wszystko to złożyło się na wierne odtworzenie wydarzeń na Westerplatte?

— Zarówno scenariusz jak i reżyserie, oparliśmy na dokumentach, pamiętnikach i zapiskach, a przede wszystkim na relacjach samych westerplatczyków, z których trzech: Michał Gawlicki, Stefan Grodecki i Leonard Piotrowski było konsultantami filmu. Bo wbrew legendom, jakimi obrosła historia Westerplatte, nie były to polskie Termopile. Do dziś wśród niektórych panuje przekonanie, że nikt z załogi nie ocalał. W rzeczywistości jednak ze 182 żołnierzy poległo piętnastu, a pięćdziesięciu odniosło cięższe i lżejsze rany. Natomiast, jak podawały hitlerowskie źródła, Niemców zginęło co najmniej 400. Wymowa tych liczb świadczy dowodnie o tym, jak się biliśmy. A szanse były nierówne. Na Westerplatte znajdowała się tylko jedna kompania piechoty wyposażona w jedno działo polowe, dwa działka przeciwpancerne i cztery moździerze.

Do fabryki czy do pracy?

Dokończenie ze str. 1

wanych mężczyzn i ponad trzy czwarte kobiet pracowało w zakładzie niepełna rok, zaledwie co dziesiąty przebył tu cztery lata. Wśród pozostałej części załogi robotniczej staż czteroletni miało prawie 70 proc.

Czwarta cecha: niedyscyplinowanie mieli za sobą krótszy ogólny staż pracy, niżby to wynikało z ich wieku i wykształcenia. Przerwy w zatrudnieniu (ewentualnie niepodjęcie pracy po ukończeniu nauki i 17 lat życia) wynosiła od 1,5 do 5 lat, a w jednym przypadku aż 7 lat. O takich pracownikach mówi się w Warszawie „niedzielniki”.

Piąta cecha: niższe przeciętne wykształcenie niż ogółu badanych robotników. Rzecz nieoczekiwana, jeśli zważyć, że młodzież robotnicza urodzona w Polsce Ludowej ma nieporównanie lepszy start od swoich ojców.

Wreszcie szósta, niemniej zaskakująca. Spośród niepoprawnych bumelantów ogromna większość — 91,3

Nakręciłem film batalistyczny, dużo w nim strzelania, walki... Ale starałem się, aby huk dział nie zagłuszył przeżyć ludzi. Trudu ich walki, ich męstwa i zwycięstw — lecz równie ich klęski, niepewności i strachu. Ci ludzie nie zdawali sobie wtedy sprawy, że są bohaterami; tym bardziej, nie spodziewali się, że zostaną na zawsze symbolem bohaterstwa, siły ducha i patriotyzmu.

Magnetyczne działanie Westerplatte w zadziwiający sposób znalazło reperkusje przy nakręcaniu filmu. Wszyscy wykonawcy, zarówno aktorzy jak i statyści (którymi byli żołnierze Wojska Polskiego) tak bardzo przejęli się swą pracą, tak mocno wczuli się w sytuację westerplatczyków, że pobudziło ich to do... niemal autentycznego działania. Przy tym czuli się wyróżnieni pracą przy filmie. Ich zachowanie było ogromnie miłe i wzruszające.

— Czy autentyzm filmu ograniczył się do wiernego odtworzenia akcji?

— Obrona Westerplatte trwała siedem dni i siedem nocy, materiał dokumentalny musiał więc ulec pewnej selekcji. Jednak wszystko to, co pokazano w filmie, łącznie z najdrobniejszymi epizodami, jest absolutnie prawdziwe, chociaż akcja filmu rozgrywa się głównie w Rembertowie, tam bowiem drzewostan i topografia są podobne do pejzażu Westerplatte. Niewielką tylko część zrealizowaliśmy nad morzem w miejscach historycznych wydarzeń — dzisiejszy półwysep Westerplatte nie jest już podobny do tamtego sprzed dwudziestu ośmiu lat. Staraliśmy się również o autentyczność rekwizytów, o właściwe ich spatynowanie, wszystko to bowiem narzuca aktorom prawdziwą reakcję.

— Jak poradziście sobie ze „Szlazwaniem”?

— Udało nam się zdobyć autentyczne zdjęcia strzelającego we wrześniu 1939 r. niemieckiego pancernika. Zdjęcia te przekopiowano w

Pradze Czeskiej na ekran panoramiczny, reszty dokonał nasz operator Jerzy Wójcik. Wmontowaliśmy również parę zdjęć atakujących stukasów. Zależało mi na tym, aby w filmie nie było zdjęć trickowych. Staraliśmy się też, aby aktorzy odzwierciedlać główne role byli podobni do swych protagonistów, ponieważ wychodzę z założenia, że podobny typ fizyczny niesie ze sobą zbliżone dyspozycje psychiczne. Najwięcej jednak kłopotów mieliśmy ze znalezieniem broni używanej w 1939 roku. Pomogło nam wojsko, które wyremontowało wygrzebane ze złomu, stare, używane we wrześniu armaty.

— W filmie pokazano dwie odmienne postawy: majora Sucharskiego i jego zastępcę kapitana Dąbrowskiego. Czy to był konflikt autentyczny, czy też służy jako fabuła dla przeprowadzenia pewnej tezy?

— Konflikt między Sucharskim i Dąbrowskim istniał naprawdę. Major był zawodowym oficerem analizującym określoną sytuację bojową w poczuciu odpowiedzialności za losy powierzonych mu żołnierzy. U Dąbrowskiego motywy emocjonalne brały górę nad przesłankami racjonalnymi. Gotów był walczyć do ostatniego naboju, byleby obrońcy Westerplatte przeszli do historii.

W filmie starcie obu dowódców pozostawiliśmy bez oceny. Na ten temat wypowiedziała się już historia.

Rozmawiała:

MARYLA CHUDZYŃSKA

Motoryzacyjne dylematy

Lato, urlopy, każdy wyjeżdża lub przynajmniej chciałby wyjechać. Kiedy jak kiedy, ale właśnie w tym okresie najbardziej odczuwa się potrzebę posiadania własnego samochodu: nie gnienie się człowiek, nie dźwiga bagaż, nie przesiada na różnych stacjach i stacyjkach, nie jest uzależniony od rozkładu jazdy.

Nic dziwnego, że w tzw. szerokich warstwach społeczeństwa zainteresowanie motoryzacją wzrasta wyraźnie w okresie urlopowym. Myślę, że właśnie ludzie mało mający na ogół wspólnego z motoryzacją są jej zwolennikami bez żadnych zastrzeżeń. Ci natomiast, którzy zajmują się nią permanentnie, stale i wciąż, zawodowo — są zarazem entuzjastami motoryzacji, jak i jej surowymi krytykami. Doceniając doskonałość samochodu w obecnym jego kształcie pragnęliby go radykalnie zmienić. Lepšie, jak wiadomo, jest zawsze wrogiem dobrego.

Co można by zarzucić współczesnym konstruktorom samochodów z silnikami spalinowymi? Dwie zasadnicze niedogodności: konieczność koźrzystania ze specjalnych urządzeń, aby dostosować pracę silnika do różnych szybkości jazdy — i zatrzymywanie powietrza spalinami. Zwiększa to ostatnie staje się plagą stulecia wobec ogromnej liczby pojazdów krążących po szosach. A rada wydaje się taka prosta: zastosować silnik elektryczny.

Olgiard Błażewicz

Z pamiętnika dyrektora

Autor od lat zbierał materiały do powieści z życia wielkiej fabryki. Był nawet stypendystą takiej fabryki. Wiele w niej zaobserwował. Powieści produkcyjnej jednak nie napisał. Dał rozbudowane do rozmiarów niedużej powieści opowiadanie, które ukazało się właśnie nakładem Wydawnictwa Poznańskiego. Jest to rodzaj luźnych kartek z pamiętnika, przekrój przez dwa dni z biografii dyrektora wielkiego, anonimowego zakładu produkcyjnego, krótki, w pierwszej osobie pisany reportaż z codzienności.

Najbardziej podoba mi się w tej książce sama formuła snucia opowieści: swoboda i ironia, dystans narratora do zdarzeń i osób opisywanych w powieści, prosty język, lekkość narracji, lekkość pióra. Książkę, zwłaszcza na początku, dobrze się czyta. Nie ma w niej nic z pretensjonalności, z pustostoiwa. Warto toczy się fabuła. Jest dość blaha, ale zresztą, z nerwem podawana. W takim stylu, w jakim zaczął ją autor, nie sposób było jednak napisać „dużej”, panoramicznej powieści. Autor w porę zorientował się, szybko podjął decyzję. Książka kończy się nagle, wcześniej jednak niż naturalne przy końcu tego typu powieści (bez konkretnej intrygi i wielkiej fabuły) znużenie czytelnika. I to także trzeba zaliczyć na dobro autora.

Książka zaczyna się i kończy obrazem tej samej sprawy: wizytami robotnika, podejrzanego o spowodowanie awarii w fabryce. Pozornie sprawa

ta jest jednym z głównych wątków powieści. W istocie tak jednak nie jest. Bohaterem jest dyrektor. Jego myśli przy biurku, zmęczenie, ciągle podsycający niepokój o żonę (a nuż zdradza), o dziecko, o fabrykę, o pozycję na „górze”. Michniak zdaje się dobrze czuć troski i myśli zwyczajnego, szarego człowieka, który został dyrektorem. Umie dostrzec śmieszność niektórych sytuacji, przede wszystkim jednak umie odmitologizować obraz dyrektora i jego fabrycznej załogi, odejść od obiegowych frazesów na ten temat. A to już, wiedząc jak się o tym pisze, wcale niemało.

Książka Michniaka przypomina mi znaną sprzed paru lat ze sceny sztukę Marka Domańskiego „Ktoś nowy”. Mówiła ona o konflikcie młodego inżyniera — dyrektora z majstrem, z fabrycznym otoczeniem. Krytyka fachowa przyjęła ją wtedy chłodno, ale widom bardzo się podobała. Odnajdywali w niej sprawy swojej fabryki, swojej załogi: dociepne powiedzenia, przekorę autora. Sądzę, że książka Michniaka należy do literatury tego samego typu. Jest próbą pokazania, bez patosu, za kładu pracy i dyrektora, zbliżenia tej tematyki do czytelnika. Nie sposób jej zaliczyć do kategorii wielkiej zaangażowanej literatury, nie sposób też nie przyznać jej cech przyjemnej lektury na popołudniu po pracy.

Czesław Michniak: „Telefon od żony, dyrektora”, powieść, Wydawnictwo Poznańskie 1967. Opracowanie graficzne Tadeusza Piskowskiego, str. 134, zł 10.

lejących służyć do przewozu bagażu.

Ale sama idea nie została zarzucona i przez dziesięciolecia trwały poszukiwania akumulatorów, bardziej nadających się do zastosowania w pojazdach mechanicznych — a także próby zbudowania elektrycznych samochodów.

Trudno tu relacjonować dokładnie różne podejmowane ostatnio próby skonstruowania samochodów z napędem elektrycznym, chciałbym wskazać przytoczyć jeden tylko, ale bardzo obiecujący przykład. Jest nim — eksperymentalna ciężarówka o silniku elektrycznym, zasilanym energią elektryczną z czterech tzw. ogniw paliwowych. W ogniwach tych energia elektryczna powstaje dzięki spalaniu „paliwa” np. wodoru przy wykorzystaniu tlenu jako utleniacza. Duże wymagania co do czystości tych gazów sprawiają, że koszt energii elektrycznej z takiego ogniw jest jeszcze wysoki, ale jeśli uda się zbudować ogniwa paliwowe pracujące na tańszych paliwach, zastosowanie ich do pojazdów mechanicznych stanie się w pełni opłacalne. Trzeba zaznaczyć, że w przeciwieństwie do akumulatorów ogniwa paliwowych nie trzeba systematycznie ładować; pracują one tak długo, jak długo zasila je się paliwem. Istnieje więc tu duże podobieństwo z systemem zasilania silnika spalinowego.

Czy ogniwa paliwowe okażą się tak długo poszukiwanym „kamieniem filozoficznym” motoryzacji?

Czas przyniesie odpowiedź.

ELEKTRON

O technice przy śniadaniu

nia silników z akumulatorów ołowowych, okazało się jednak, że nie jest to zbyt wygodne. Pojemność elektryczna tych akumulatorów w stosunku do ich ciężaru jest niewielka, inaczej mówiąc — znaczną część energii gromadzonej w akumulatorach trzeba zużywać na ich przewożenie. Ogranicza to znacznie zasięg pojazdu, tj. odległość, jaką pojazd może przebyć pomiędzy jednym a drugim ładowaniem akumulatorów. Nic dziwnego, że praktyczne zastosowanie energii elektrycznej do poruszania małych pojazdów niezależnych od sieci przewodów zasilających ograniczyło się do tak zwanych wózków akumulatorowych, jakie na stacjach ko-



Wiesz zakończyła żniwa. Dzisiaj — dorocznym zrywaniem — w Warszawie odbywają się tradycyjne dożynki. Radio Wolna Europa urządza sobie natomiast od pewnego czasu dorzynki. Pisze o tym W. M. w cotygodniowym felietonie „Życia Literackiego”, zatytułowanym:

„DORZYNKI” WOLNEJ EUROPY

Z okazji rocznicy Września nie pierwszy już raz Wolna Europa i paryska „Kultura” zajmują się przekonywaniem swoich słuchaczy i czytelników, że agresywność niemieczyzny jest właściwie wymysłem potrzebnym komunistom dla utrzymania społeczeństwa w ryzach bojaźni i posłuszeństwa.

„Panowie z polskiej propagandy reakcyjnej na zachodzie — pisze W. M. — głosząc wyższość swoich przemysłów „wojennych”... może światem się objawiają w czyichś oczach, ale światem nie. Nie może być nie bardziej nielojalnego i upokarzającego jak życie w porozumieniu z agresorem. Wczorajszym,

dzisiejszym i ewentualnie jutrzejszym (...). Jeśli widzimy brak logiki i pokrycia z rzeczywistością, to zaraz usłyszymy inwektywy: dogmatycy, niewolnicy Moskwy itp. I jeśli nie zgadzasz się z ocernianiem swoich uczuć, to też jesteś neostalinowcem... Aż dziwne, jak dużo tych „dogmatyków” jednocześnie się w popieraniu i uświadamianiu w sprawach naszej przeszłości m. in. Września, czy naszej aktualnej polityki zagranicznej”.

„Wolna Europa urządziła sobie (...) dorzynki — pisze dalej W. M. — rozsiewając na falach eteru plotki, jakoby nasza polska jedność przeżywała poważną porażkę na tle różnic w sprawie konfliktu bliskowschodniego. Nie rozumiesz tego, rodaku, złości się WE, że nie ma jedności? Wzruszasz ramionami? To jesteś martwą rurą, która nie trawi naszego „europejskiego” pokarmu...”

(...) Zachodnie tuby propagandowe próbują przeciwstawić nastroje społeczeństwa polskiego w sprawie konfliktu bliskowschodniego i agresywnej, zaborczej postawy rządów i polityce kierownictwa Izraela opinii i polityce kierownictwa naszego państwa. Ze my rzekomo kochamy Izrael nawet nad pokój światowy (nie nad Arabów), że lubimy strategię wzorowaną na spryśle papieża „łapać złodzieja”, natomiast kierownictwo państwowe i partyjne (konkretnie nazwiska) opiera się proizraelskiej fałszywej, tak redukuje te „nastroje”. Czy wierzyć w takie nastroje w społeczeństwie, którym sami jesteście? Nie. No to jeszcze raz populiżaj z WE, że jesteście martwą rurą, która nie przepuszcza „europejskiego” żarcia i nie trawi...
Przed dwu i pół miesiącami już pisa-

łem na tym miejscu o grupkach ludzi ulegających solidarności z agresją i sztuką wojowania gen. Dajana. Dla wszystkich wytłumaczone jest ich redukowanie i izolowanie. Izolowanie do końca, bo gdyby to nie dokonywało się, to naród w swym zdrowym, patriotycznym milonowym ciele wątpiłby w swoje poglądy. A tymczasem WE wmawia w nas, jako całość, obłąkanie proizraelskie. Obłąkanie polityczne i ideologiczne. Jakbyśmy się mieli zmienić i wdychać do panów (...)

Wiemy poza tym — wracając do „nastrojów” w kraju — że podłością i cynicznym szantażem jest utożsamianie odporu wobec agresji na Bliskim Wschodzie z antysemityzmem. Obłąkani to my nie jesteśmy. A z drugiej strony obłąkanie anty Arabskie — wiemy — służyć może za wabika, żeby jutro na zimno użyć myślenia co słabszych i bardziej zdezorientowanych ludzi dla idei „pax americana” sunącej od Renu.

Wolna Europa położyła się tą swoją wyższością co do rozeznania nastroju w Polsce. Ale inaczej nie może. Naprawdę nie może. Gdyby podawała inne opinie, to by utraciła rację życia, zniknęłaby zarojek”.

Inną sprawę z zakresu tych, które tak żywo na nowo odżywają w naszym społeczeństwie w rocznicę Września sygnalizuje „Kultura” w nocie pt.

CZEKAMY NA WYJAŚNIENIA OJCÓW PAULINÓW

„Zachodnioloniemiecki dziennikarz — czytamy w „Kulturze” — znany jako autor wielu artykułów utrzymywanych w przychylnym dla Polski tonie, Hans Joachim Orth z Duesseldorfu pisze w swoim reportażu z Częstochowy opubli-

kowanym na łamach pisma DEUTSCHE VOLKSZEITUNG:

„...zakonnik, który niezwykle uprzejmie oprowadzał mnie, przedłożył mi książkę pamiątkową gości — czytamy w reportażu. — Na jego życzenie miałem złożyć swój podpis obok wielu znanych osobistości. Ucieszyłem się, gdy wskazał mi podpis b. prezydenta Rzeczy, von Hindenburga. Kiedy natomiast bez żadnego skrupułu wskazał mi podpis ówczesnego fuchrera SS, Himmlera i hitlerowskiego generalnego gubernatora Franka, byłem szczerze zdumiony. Jak mogła hierarchia kościelna dać tego rodzaju okazję takim przestępcom — myślałem, przypominając sobie stanowisko niejednego z przywódców kościoła w Polsce przed wojną, którzy „flirtowali” nie tylko z włoskimi faszystami. Podobno Hitler w czasie wojny — jednakże incognito — również odwiedził klasztor — jak mnie poinformowano w czasie zwiedzania”.

Drugim tematem dzisiejszego przeglądu jest niedawny międzynarodowy festiwal piosenki w Sopocie. Temat trafił dopiero do tygodników, a warto się nim zająć, bo sam festiwal jest i tak przecież przedmiotem prawie ogólnonarodowej dyskusji.

KARNAWAŁ JAK W SOPOCIE

Takim tytułem opatrzył swoje uwagi Aleksander Rowiński w „Tygodniku Kulturalnym”. Autor porusza sprawy nie nowe. Jak sam pisze, podobne krytyczne uwagi formułował cztery lata temu w „Kulturze”, dwa lata temu w „Polityce”.

„W tym roku zagraniczni obserwato-

rzy byli zdania — czytamy — że jak na wielki narodowy konkurs to nagrody w postaci burzynowego patzka na drugie zamiast pieniędzy i ciepłe słowa zamiast płyt laureatów, które od razu rzucił się na europejski rynek, to śmieszne i żalonne — w zależności od interpretacji. I dalej, że festiwal, w którym występować może każdy, a reżenista z byle nocnego klubu staje się reprezentantem państwa, to ryzykowne i fatalne zarazem. I jeszcze jedno: że festiwal, na który może przyjechać każdy cudzoziemiec i zaśpiewać co tylko zechce, to nieporozumienie, co gorsza smutne”.

W podobnym tonie utrzymana jest większość wystąpień prasowych, przy czym JERWIT we „Współczesności” zwraca uwagę na to, że: „Naszych sopockich zagranicznych gości w ogromnej większości stać co najwyżej na popularyzowanie piosenek już wylansowanych, ale w żadnym wypadku na samodzielne lansowanie piosenek w krajach, gdzie konkurencja jest ogromna, a zarządzanie produkcją płyt gramofonowych absolutnie zdecentralizowane. Więc zdecydujemy się po meksku na jakieś konsekwentniejsze kryteria, które mogłyby bardziej skutecznie poprzez festiwal sopocki ruszyć piosenkę polską za granicę. Osobiście w to pospolite ruszenie piosenki polskiej za granicę nie wierzę”.

Niestety, każdy kto obserwował festiwal musi chyba się zgodzić z tymi niepocholebnymi uwagami.

LEKTOR

P.S. Na łamach „Współczesności” Jerzy Zegalski pisze o kłopotach teatrów, jako przedsiębiorstw. Ciekawe. (L)